

Na Szubienicznej Górze

Wyznania
szczerego
entuzjasty teatru
PAWEŁ GŁOWACKI

Pajaki opuściły Galgenberg. Pajaki, czas i kolor. Zostali tylko ludzie. Zapomniani ludzie, stare rzeczy zapomnianych ludzi, stare słowa zapomnianych ludzi i stare ich czekanie na wiadomo co. Zostało mało. Na Galgenberg, na garbie Szubienicznej Góry, nigdy nie było tak cicho jak teraz, gdy odeszły pajaki, czas i kolor. Bądź jak tu – w teatralnej przypowieści Agaty Dudy-Gracz „Galgenberg”.

Na początku jest strzęp ostatniej żywej barwy w igle światła sunącego z góry. Ot, wior lichej gąbki chyba czerwonej. Inne żywe barwy – czerwień majtek dziwki, karmazyn sztandaru, biel szat niewiasty nieudolnie z martwych powstałej, spłowiła żółć kościelnych dewocjonalistów dewotek czapiących do Lourdes, które to baby staną się postaciami biblijnymi, które obróćą się w płaczki żałobne, by na powrót stać się pestką szarości bez końca – inne więc żywe barwy będą w przypowieści Dudy-Gracz jedynie walorami marniejącej pamięci zapomnianych rezydentów Szubienicznej Góry. Ale to za chwilę. Póki co, Duda-Gracz daje nam krajobraz wyczerpania.

W szarości bez końca, w rogu tej barwy bez właściwości, co jest barwą braku kolorów – mała plama wolno prostuje plecy. Wstaje szarość w kształcie człowieka. To Mistrz (Tomasz Międzik), który będzie Uzdrawioną, która będzie Ministrem I, który stanie się Ojcem, który okaże się Tatusiem, by na końcu wrócić w szarość bez końca. Wstaje, podchodzi do ostatniej gąbczastej resztki żywej barwy w igle światła sunącego z góry – i wynosi ją. Tyle. Tak Duda-Gracz otwiera swą osiemdziesięciminutową przypowieść. Dawno w teatrze nie widziałem takiego obrazu czułości – tak mądrego, bo tak bezlitosnego dla złudzeń. Czułość Mistrza jest lodowata. Jakby wiedział, że tym razem ostatni strzęp żywej barwy – nie wróci. Ma rację Mistrz.



FOT. MARCIN WEGNER

U Dudy-Gracz tacy są wszyscy rezydenci Szubienicznej Góry opuszczonej przez pajaki. Lodowato czuli wobec każdego szyfru mamiącego życiem. Wobec gąbki ostatniego koloru, wobec własnych ciał starych, wobec swych starych słów, wobec jeszcze ciepłych marzeń starych, wreszcie wobec starej pamięci wolno płowiejącej w oczekiwaniu na wiadomo co. I bodaj to jest najważniejsze – płowiejące, bo płowiejące, ale jednak pamiętanie. W oczekiwaniu na przyjście wiadomo kogo Mistrz uruchamia więc małe seanse przywoływania przeszłości. Nad potężną wymarłą pajęczyną, która jest jedynym niebem nad garbem Galgenberg, kilka razy rozbłyśnie oślepiające światło. To zawsze będzie początek przypominania.

Tak szarzy przebrną przez ślady, które w nich zostawił niegdyś ich świat. Stara Kobieta (Marta Konarska), Starzec I (Rafał Dziwisz), Starzec II (Maciej Jackowski), Starzec III (Sławomir Rokita), Starzec IV (Krzysztof Piątkowski) – tu, wśród strupieszalnych rzeczy okutanych wymarłymi pajęczynami, każdy, jak Mistrz, będzie w swej pamięci wieloma postaciami z przeszłości. Odegrają teatr. Odegrają, by jakoś doczekać wiadomo czego.

Przejdą przez różne, zazwyczaj fatalnie groteskowe podobizny katolicyzmu. Do-

strzegą marność wszelkich wcieleń tępej dewocji. Sami sobie pokażą tandetę władzy. Bez żadnych złudzeń odegrają nędzę miłości. Z dna wszelkiego bohaterstwa enty raz wyłuskają jego sedno – zwierzęcą samotność umierających w chwale. Rezydenci Szubienicznej Góry nie znajdują dla swego świata przeszłego żadnych taryf ulgowych, choćby najlichszych powodów do oszukiwania pacykowania fasad. Na Scenie Miniatura rezydenci Szubienicznej Góry już nie mają wyjścia – przyjmują nędzę ideologii wczoraj jeszcze dla nich żywych. Z wyjątków sztuk teatralnych Michela de Ghelderode Duda-Gracz ulepiła swą przypowieść po to właśnie.

Klauni Dudy-Gracz, co są całkiem jak smutni grajkowie na płótnie Makowskiego, gdyby ktoś z płótna koloru wysłał, ci klauni szarego cyrku gdzieś na marginesie świata, zgubieni w strupieszalnych, pajęczynami okutanych rzeczach niczym dzieci na nieogarnionym strychu gratów rodzinnych, wedle odwiecznej prawdy, że nic tak boleśnie nie obnaża gipsowości świata jak skrajna metafora – obnażają wszystko, co im kiedyś, a nam dziś drogie. I w tym obnażaniu – powtórzę z naciskiem – nie ma wściekłości ludzi rozczarowanych. W scenicznej przypowieści Dudy-Gracz – tu tkwi cała znakomitość aktor-

stwa seansu „Galgenberg” – jest cicha czułość, spokojna, lodowata czułość ludzi, którym nie pozostało nic poza czułością bez złudzeń. Bo niby co mogą ich słowa? Co mogą ich gesty, ich nagłe wściekłości, ich marniejąca pamięć, resztki ich zła, strzępy starego ich dobra? Mało. Żałośnie mało. Nic. Klauni szarego cyrku wiedzą to. Czułość, którą Duda-Gracz wsączyła w nich, jest wspaiałe ciemna.

Pajaki opuściły więc Galgenberg. Pajaki, czas i kolor. Galgenberg jest wszędzie. Jak chce geografia – pod mieściną Marolles w Belgii. Jak chce Duda-Gracz – na Scenie Miniatura. Na dnie każdej głowy. Galgenberg to zgoda na bezradność. Garb Szubienicznej Góry jest płacem końca tanich ułud codzienności. Jak u Dudy-Gracz. Do zabicia czekania na wiadomo co – zostaje mało. Lecz mało, to tutaj jest wszystko. Garść słów, trochę pamięci, rzeczy strupieszale i czułość chłodna pod niebem wymarłej pajęczyny. A później, aż do ostatniej ciemności, suną z góry na scenę strugi popiołów.

Teatr im. Juliusza Słowackiego. Scena Miniatura. „Galgenberg” wg sztuk Michela de Ghelderode. Scenariusz, reżyseria i scenografia Agata Duda-Gracz. Muzyka Jakub Ostaszewski. Choreografia Kamila Jankowska i Witold Jurkiewicz.